Jacek Dziedzina

PO COŚ TU JESTEM

Jeden z Dziewięciu. Józef Krzysztof Giza, podobnie jak ośmiu innych górników, 16 grudnia 1981 r. zginął w kopalni „Wujek" w Katowicach. O bracie, cichym pogrzebie, latach rewizji i krzyżu żyjącym do dziś opowiada jego rodzeństwo: siostra Małgorzata i brat Adam.

I

Adam Giza: To była moja ostatnia rozmowa z Krzyśkiem. Jakieś trzy tygodnie przed śmiercią. I tak mi właśnie powiedział, że nawet jak będzie stan wyjątkowy (o wojennym nikt nie mówił), to tym razem władza nikogo nie zabije.

Małgorzata Cierkos: Tak naprawdę na pierwsze miał Józef. Ale rodzice nie mogli się zgodzić, jak właściwie na niego wołać. Tata chciał Józef, bo tak nazywał się jego szwagier, z kolei mamie bardziej podobał się Krzysztof. Więc mama postanowiła, że będziemy wołać na niego Krzysztof. I tak już zostało. Ja byłam starsza od niego o cztery lata.

A.G.: Było nas sześcioro rodzeństwa w domu. Czterech braci i dwie siostry. Ja byłem najmłodszy, a Krzysztof dwa i pół roku starszy ode mnie. Mieszkaliśmy w Tarnogrodzie. Ojciec był pierwszym naczelnikiem poczty, a mama kierownikiem w domu pomocy społecznej. Krzysiek był bardzo utalentowanym chłopakiem. Po pracy w piekarni zazwyczaj grywał na perkusji w lokalnym zespole. Później grał też na gitarze, na fortepianie, na skrzypcach – a we wszystkim samouk, żadnych szkół muzycznych nie kończył. Grywaliśmy też w szachy. Raz nawet zajęliśmy drugie miejsce w rozgrywkach powiatowych.

M.C.: Krzysztof urodził się 13 marca 1957 roku, 13 marca miał wydany dowód osobisty, na trzynastego ustawił sobie egzamin na prawo jazdy, i trzynastego też otrzymał dowód rejestracyjny auta. Wierzył w „13" i wszystko starał się ustawiać właśnie na trzynastego. Tyle że stan wojenny też wprowadzono trzynastego...

A.G.: W 1978 roku Krzysiek przyjechał do Katowic do pracy na kopalni „Wujek". Nie chciał iść do wojska, więc uznał, że lepiej, jak sobie odrobi to w kopalni i potem będzie miał spokój.

II

M.C.: Mieszkałam już wtedy w Rybniku. Jeszcze 16 grudnia [1981 r.] nie wiedzieliśmy, co się stało w Katowicach. Dopiero następnego dnia mój mąż przynosi gazetę i mówi: „Słuchaj, Gośka, tam na kopalni coś się dzieje, zginęli ludzie". Trzeba było szybko załatwiać zezwolenie, żeby dojechać do Katowic, bo przecież w stanie wojennym nie można było przejechać swobodnie z miasta do miasta. I tego samego dnia zebraliśmy się – ja i mąż z dwójką malutkich dzieci – i przyjechaliśmy wieczorem pod kopalnię. Przyjechała też mama. Brat Wiktor, który mieszkał w Sosnowcu, już był na miejscu i miał wszystkie bieżące wiadomości. Niestety, nazwisko Krzyśka znajdowało się na tabliczce na tym pierwszym drewnianym krzyżu.

A.G.: Ja byłem wtedy w wojsku. I o śmierci brata nie wiedziałem. O tym, że zginęli górnicy, dowiedziałem się już 16, bo jako żołnierze mieliśmy obowiązek oglądać dziennik telewizyjny. Podali w nim najpierw, że zginęło siedmiu górników. Zacząłem się martwić o Krzyśka, ale pomyślałem sobie, że przecież w kopalni pracuje 5 czy 6 tys. ludzi, więc dlaczego akurat jego miałoby to spotkać. Mijały dni i nikt mnie o niczym nie powiadamiał, więc uznałem, że z Krzyśkiem wszystko w porządku. Na Wigilię Bożego Narodzenia – a więc już tydzień po tych wydarzeniach – którą urządziliśmy sobie z plutonem, przyszedł do nas „polityczny", wtedy w stopniu kapitana. Bardzo mi się ten człowiek nie podobał. Zbytnio się mną interesował. Nigdy nie miałem z nim jakichś poufałych relacji, a wtedy podchodził do mnie i chyba aż trzy razy łamał się ze mną opłatkiem. I wtedy coś mnie tknęło! Dlaczego on się mną tak interesuje, myślałem. Coś musi być.

M.C.: Kopalnia załatwiła nam pokój w hotelu. Dostaliśmy też posiłki, także dla dzieci. Mama koniecznie chciała zawieźć ciało do Tarnogrodu i tam je pochować. „Nie zostawię go w Katowicach", mówiła. Długo musieliśmy czekać, aż wydadzą nam ciało, co chwilę mówili, że jeszcze dokumenty nie są gotowe. Cały czas tylko przychodzili jacyś mundurowi i nie przedstawiając się, powtarzali: proszę czekać spokojnie, proszę się nie ruszać, nigdzie nie chodzić, nie denerwować się, my ze wszystkim przyjdziemy, o wszystkim zawiadomimy. Obiecali, że około ósmej będzie można zabrać ciało, powiedzieli: proszę się nie martwić, trumna jest przygotowana, przyjedzie samochód i zabierzecie ciało. Minęła ósma i nic, cisza. Wchodzi jakiś mężczyzna i mówi, że to jednak niemożliwe, nie wyjedziemy dzisiaj, śpijcie spokojnie, jutro rano wszystko będzie dobrze. Następnego dnia [18] podobnie. Dopiero o 23.45 pukają do drzwi i mówią mamie: albo zabiera pani ciało syna teraz, albo jutro jest pogrzeb zbiorowy w Katowicach. Mama, niewiele myśląc, odpowiedziała: zabieramy teraz. Na zewnątrz było 20 stopni mrozu. Podjechał tak malutki samochodzik, że trumna się nie mieściła i trzeba było ją ustawić w poprzek. Mama w brązowym cienkim płaszczyku usiadła obok tej trumny i jechała tak przez pięć godzin. Jeden z wojskowych dał mamie koc. I zaznaczył: mamy taki rozkaz, że ciało nie może być zawiezione do domu, tylko bezpośrednio do kościoła, trumna nie może być wożona nie wiadomo gdzie, ksiądz od razu ma wprowadzić ciało do kościoła i później zorganizujcie sobie szybciutko cichy pogrzeb.

I tak było. Mama pojechała z ciałem Krzyśka i dwoma żołnierzami, a my zostaliśmy w Katowicach, bo nie zmieścilibyśmy się w tym samochodzie. Następnego dnia kopalnia załatwiła nam inny samochód.

III

M.C.: Mamę przywieźli do Tarnogrodu ok. piątej nad ranem. I nawet nie poczekali, aż ksiądz otworzy plebanię. Zrzucili jej tylko trumnę koło dzwonnicy i powiedzieli: do widzenia! I żadnych kawałów, pani Gizowa, proszę nie brać ciała do domu, tylko iść do księdza dzwonić, żeby trumnę wziął... Mama całkowicie zmarznięta, żywej duszy na dworze, bo to przecież jeszcze godzina milicyjna była. Zadzwoniła do księdza. Pani Gizowa, mówi, poczekamy do szóstej, jak się ktoś już ruszy, bo przecież sami nie damy rady wnieść tego ciała. I rzeczywiście przypadkowi przechodnie pojawili się po szóstej i pomogli wnosić trumnę do kaplicy. A to wszyscy znajomi, bo mała miejscowość, więc od razu się rozniosło.

Kiedy dojechaliśmy z Katowic, wszystko było już zorganizowane. Ludzie też o wszystkim wiedzieli. Mieliśmy zakaz otwierania trumny. Mama mówiła, że przyszedł do niej jakiś

Józef Krzysztof Giza, lat 24

mężczyzna i powiedział, że ma być cichy pogrzeb, bez żadnej orkiestry. A przecież Krzysztof grał w orkiestrze w domu kultury, więc wszyscy koledzy chcieli go ładnie pożegnać. Ale nie pozwolili, nie było o tym mowy. I ksiądz w zasadzie zgodził się na te warunki. Byłam z mamą, gdy mówił do niej: pani Gizowa, żadnych orkiestr, żadnych flag, bo inaczej żaden z nas nie pójdzie na cmentarz. Mnie to wtedy strasznie zabolało. Mam ogromny żal do dzisiaj, bo to byli jednak jego koledzy, którzy grali z nim w orkiestrze i chcieli położyć flagę na trumnie. Ja nie oczekiwałam od księdza, żeby zachęcał nas do złamania zakazu. Ale mógł powiedzieć przynajmniej tyle: mnie to nie interesuje, ja się w to nie mieszam, jestem księdzem, zrobię swoje, a wy róbcie, co chcecie. Ale w sumie rozumiem go, że się zwyczajnie bał.

Znajomi jednak przyszli na pogrzeb z instrumentami. Wtedy mama poprosiła ich, żeby nie grali, bo ksiądz może mieć kłopoty.

A.G.: Krzysiek dla władz nie był bohaterem narodowym, tylko draniem, który nawet do Katowic pojechał, żeby narozrabiać – tak mówili. Dlatego nie mogli dopuścić do tego, żeby pogrzeb „chuligana" był uroczysty i by na jego trumnie kładziono flagę narodową.

M.C.: Ale za to otworzyliśmy jeszcze trumnę tuż przed złożeniem do grobu. Jak już ksiądz poszedł i wszystko było skończone. Wtedy pomodliliśmy się, już we własnym gronie. Mnóstwo osób było na pogrzebie. Ale zjechało się chyba więcej ubeków, niż ludzi szło za trumną.

A po pogrzebie – to było strasznie. Nie dali mamie żyć. Przeprowadziłam się wtedy do Tarnogrodu, do mamy. I dopiero się zaczęła gehenna.

IV

A.G.: Mama z Małgosią przyjechały do mnie do jednostki dopiero 25 grudnia o piątej rano. Dyżurny przyszedł mnie obudzić i mówi: ubieraj się w mundur galowy i do sztabu. Wtedy już wiedziałem, że na pewno o to chodzi. A jak zobaczyłem czarny szalik na szyi mamy, no to nie było już o czym mówić. Miałem urlop załatwiony do 2 stycznia. No i pojechałem pod kopalnię. Stanąłem pod krzyżem i zacząłem się modlić. Ja oczywiście w mundurze byłem. Klęczałem, a ludzie przechodząc, pluli na ziemię. Słyszałem, jak mówili z pogardą: „Wojsko!". A jakaś starsza kobieta w moją stronę: „Co, skurwysynu – sumienie cię ruszyło?". Nic jej nie odpowiedziałem. Nie chciałem tłumaczyć, kim jestem i dlaczego mam mundur na sobie.

Później poszedłem do hotelu, w którym mieszkał Krzysiek, żeby zobaczyć się z Marianem, jego najbliższym kolegą. Często razem gdzieś z nimi wyjeżdżałem, znaliśmy się dość dobrze. Ale Marian nie chciał otworzyć mi drzwi. Bał się, później mi to powiedział, że zapytam go, dlaczego on żyje, a Krzyśka nie ma. [...]

Później zwolnili mnie z wojska, nie wiedziałem dlaczego. Kazali mi napisać wniosek o przeniesienie do rezerwy. Wniosek przeszedł. Podpisany przez gen. Jaruzelskiego.

M.C.: Mama strasznie się bała o Adama. Mówiła do mnie: Małgosiu, nie będziemy go powiadamiać o pogrzebie, żeby on tam jakichś głupot nie narobił, bo przecież ma broń przy sobie. Adam i Krzysiek to były papużki nierozłączki. Wszędzie razem. No więc mama bała się, jak zniesie wiadomość o śmierci i pogrzebie. A potem to ona zaczęła się starać o zwolnienie Adama z wojska. Ale on o tym nie wiedział.

Fot. A. Konarzewski, AIPN

Strajkujący górnicy kopalni „Wujek" w rozmowie z członkami rodzin i przechodniami, przed pacyfikacją 16 grudnia 1981 r.

A.G.: Do jednostki wróciłem 2 stycznia, ale nie dostałem już broni do ręki, a 10 lutego zostałem przeniesiony do rezerwy.

Z kolegami w jednostce nie wolno było rozmawiać o tym, co się stało na „Wujku", i o moim bracie. I nikt nie poruszał tego tematu. Totalny strach. Ten ostatni miesiąc w wojsku to był dla mnie horror: żadnego zajęcia, nigdzie mnie nie zabierali, mogłem tylko iść na stołówkę i z powrotem.

Jak wróciłem 2 stycznia, to dowódca kompanii, major Zając, zawołał mnie do siebie, bardzo życzliwie ze mną rozmawiał. Mówił: pisz wniosek, my to wszystko załatwimy, na pewno wyjdziesz. Wtedy dowódcy spali w jednostce, był stan wojenny, więc nie szli do domu, tylko spali razem z żołnierzami. Po tej rozmowie z majorem nie było już żadnej rozmowy z nikim z dowódców. A o tym, że wychodzę, dowiedziałem się dopiero 10 lutego i tego samego dnia opuściłem jednostkę. Ten miesiąc to był koszmar: kompletnie nic do roboty. W wojsku specjalnie organizuje się obowiązki, żeby żołnierz nie miał o czym myśleć. A ja wręcz przeciwnie – kompletnie żadnych zadań.

M.C.: W Tarnogrodzie zaczął się horror. Nieustanne wizyty w domu i rewizje. Szukali – nie wiem czego – nawet w książkach. Mówili mamie: Pani Gizowa, pani przemyca jakieś gazetki, ulotki, i my tu mamy obowiązek sprawdzić wszystko. Mama na to: Sprawdzajcie, ja tu nie mam żadnych gazetek, róbcie, co chcecie, zabiliście mi syna, to możecie wszystko pozabierać. Zabierajcie wszystko! I za każdym razem w ten sam sposób. No więc szukali.

A.G.: Jakimś dziwnym trafem nagle nasze dwa psy zdechły. Najpierw jeden, potem następny. Tego drugiego Małgosia zaniosła do znajomego weterynarza, a on stwierdził, że pies został otruty! Nie było żadnego ogrodzenia wokół domu, psy biegały sobie swobodnie, nasze i sąsiadów też, ale nikomu nie przeszkadzały. I tylko nasze zdechły.

M.C.: Z grobu Krzyśka „nieznani sprawcy" zabierali tabliczkę. Napisane na niej było mniej więcej tak: zamordowany przez oddziały ZOMO na kopalni „Wujek". Jak oni w nocy ją zrywali, to my dokładnie taką samą przygotowywaliśmy, lakierem na blasze pisaliśmy od nowa te same słowa. Wieczorem zbierali się znajomi Krzysia i Adama po to, żeby pilnować tabliczki. Po którejś nocy przychodzimy rano, a tabliczki nie ma, choć całą noc pilnowaliśmy. Widocznie oni nas bardziej pilnowali niż my. I w końcu ktoś nam poradził, chyba mama: dajcie spokój, napiszcie coś innego, już to, co chcieliście powiedzieć, wszyscy wiedzą. No więc powiesiliśmy tabliczkę tylko z napisem: śp. Józef Krzysztof Giza.

Kiedyś przyszło dwóch panów z milicji, byli „po cywilu". Pani Gizowa, mówią, jest donos na panią, że u was pędzi się bimber. Sprawdzimy na strychu. Mama mówi: sprawdzajcie, wchodźcie na strych, szukajcie bimbru! I to się powtarzało co jakiś czas. Mama wpadła w depresję, była ciągle na lekach. W pewnym momencie musiała leczyć się w szpitalu. Wykończyli ją. I siedem lat po śmierci brata zmarła. Nie wytrzymała tej presji.

V

A.G.: Moje ostatnie spotkanie z Krzyśkiem było bardzo zwyczajne. Jakieś trzy, cztery tygodnie wcześniej był u mnie w jednostce. Porozmawialiśmy z godzinę i to wszystko. Już wtedy chodziły słuchy, że chyba będzie stan wyjątkowy, nie stan wojenny – tylko wyjątkowy. W wojsku były takie głosy: to jest niemożliwe, co ta „Solidarność" wyrabia. I powiedziałem o tym bratu. A Krzysiek na to: nawet jeśli, to przecież nie będą do nas strzelać, mają już nauczkę z Gdańska, z Poznania i z wcześniejszych lat, więc teraz to już na pewno nie będą strzelać do robotników... To była ostatnia rozmowa z nim.

M.C.: W naszym domu zawsze panowała antykomunistyczna atmosfera i jestem pewna, że to dlatego Krzysio został na kopalni w czasie strajku. Wieczorami nasz ojciec siadał i mówił: chodźcie, opowiem wam, jak tam było w partyzantce. Słuchali z mamą Radia Wolna Europa. My już kładliśmy się spać, a mama szeptała: cichutko, cichutko – Wolna Europa. I potem opowiadała nam, co się dzieje na świecie. Antykomunizm wynieśliśmy z domu.

A.G.: Po śmierci Krzyśka esbecy dawali nam do zrozumienia: pamiętamy, że wasz ojciec był akowcem. Gdy przychodzili na rewizję, zawsze to podkreślali. W roku 1983 założyłem swoją rodzinę i wyprowadziłem się od mamy. Zamieszkałem z żoną, urodziło się jedno dziecko, potem drugie. I nawet do mnie przychodzili na rewizje, do roku 1986 to trwało. Ja wychodziłem przed siódmą rano do pracy, a dziesięć po siódmej oni już przychodzili do domu. Żona w koszuli, dzieci malutkie. Kiedyś traf chciał, że wróciłem się, bo czegoś zapomniałem. Wchodzę, a oni już są. Wśród nich taki jeden, Pułapa się nazywał, później w wolnej Polsce nadal służył w policji. A wtedy, jak przyszedł do nas na rewizję, to nawet go jeden z towarzyszących esbeków upomniał, kiedy mojego małego synka, Krzysia, Pułapa wziął z łóżeczka, podniósł za nogi do góry i szukał. Ulotek, gazetek, bimbru... Tego obrazka nigdy nie zapomnę. I ten esbek mówi do Pułapy: co ty robisz? Zostaw dziecko!

Fot. L. Stankiewicz, AIPN

Czołg przygotowujący się do wykonania wyłomu w murze kopalni „Wujek", 16 grudnia 1981 r.

M.C.: Ten Pułapa pozwolił sobie nawet powiedzieć, że nasz brat Krzysztof był chuliganem.

A.G.: Ja myślę, że oni nachodzili nas nie w jakimś konkretnym celu, tylko po to, by nas zastraszyć, żebyśmy nie zapomnieli, że oni istnieją. Gazetki, ulotki i bimber to był tylko pretekst. Do roku 1986 wytrzymałem. W końcu wyjechałem z Tarnogrodu do Sosnowca. Znalazłem pracę na kolei. Ale pewnego dnia przychodzi do mnie milicja. Znaleźli mnie nawet tam. Mam się zgłosić w Dąbrowie Górniczej do SB. Czyli dalej to samo. Przesłuchali mnie i powiedzieli: będziemy pana odwiedzać. Ale tak grzecznie, ładnie. Nie tak jak ci wcześniej, którzy zawsze wyzywali i poniżali. A tu grzecznie. Socjalizm z ludzką twarzą (śmiech). I w rzeczywistości to mnie nigdy nie odwiedzili. Czyli faktycznie w roku 1986 skończyła się gehenna. Mogłem odsapnąć.

M.C.: U nas w Tarnogrodzie trwało to dwa lata dłużej, do śmierci mamy w grudniu 1988 roku. Za każdym razem, jak zbliżała się rocznica „Wujka", mama już miała straszliwą depresję. Nawet pamiątki Krzysia chciała spalić, mówiła: Małgosiu, żebyście nie mieli kłopotu, bo jak oni to znajdą, to będzie znów problem. Gdy mama zmarła, to oni dali już spokój z tymi rewizjami. Na pewno byliśmy obserwowani, ale już nie przychodzili, nie szukali niczego. Ale widzieli, kto do nas przyjeżdżał. A co roku przyjeżdżali do nas górnicy z kopalni „Bogdanka", oni od samego początku naprawdę zaopiekowali się grobem. No i oczywiście z kopalni „Wujek" zawsze o nas pamiętali. To naprawdę bardzo pomagało.

VI

M.C.: Zomowiec strzelił Krzyśkowi prosto w gardło, kulą, która spowodowała siedmiocentymetrową wyrwę w krtani. To znaczy, że to był morderca, który chciał zabić. I to były strzały, które miały zabić. Każdy z górników był postrzelony w głowę albo w piersi. Tłumaczenie,

Fot. A. Konarzewsk, AIPN

Dzień po pacyfikacji: krzyż pod kopalnią „Wujek", 17 grudnia 1981 r.

że zomowcy stracili głowę w obronie własnej, jest nonsensem. Górnicy ich napadli z łańcuchami, a oni w obronie własnej zastrzelili ich?

Mama pytała często: i po co oni zginęli? Nie doczekała 1989 roku. Gdyby pożyła jeszcze rok, to by przynajmniej wiedziała, że jednak coś się zmieniło, że po coś to było. Że jakiś sens tego wszystkiego jednak był.

A.G.: W tej ostatniej rozmowie ze mną Krzysiek mówił: zobaczysz, doprowadzimy do wolnych wyborów, a później już wszystko będzie OK.

M.C.: A z Wiktorem chyba rozmawiał przed samą śmiercią, tam pod bramą kopalni, bo Wiktor chodził go odwiedzać. Może trzy dni przed śmiercią mówił mu: no co ty, Wiktor, kto będzie strzelał do górników, czego wy się boicie? [...]

M.C.: Ostatni, bardzo ładny gest Krzysia, 16 grudnia rano. Portierka z tego hotelu, w którym mieszkał, była pod bramą i mówi: Krzysiu, co ci potrzeba? Może jakiś chleb, może jakiś koc albo pled, bo jednak zimno jest. A on wtedy spojrzał na nią i powiedział: jeżeli coś się stanie, to tylko proszę ucałować mamę – i pocałował ją w policzek. Proszę przekazać to mamie, dodał. I ta pani przez te wszystkie lata była z nami, przychodziła do nas i zawsze na początku całowała mamę od Krzyśka. [...]

M.C.: Moje córki mówią mi czasem: mamo, weź to wszystko, spisz. Bo jeśli wszystko zapomnisz, to skąd my będziemy wiedzieć, co się działo. Nikt nie będzie pamiętał, nawet nasze dzieci.

A.G.: Te ciągnące się procesy zomowców bez wyroków skazujących były dla nas za każdym razem policzkiem. Ktoś mnie kiedyś spytał, czy ja jako katolik przebaczam. A ja na to: a czy ja wiem, komu właściwie mam przebaczyć, skoro nie ma winnych? Żeby przebaczyć, trzeba wiedzieć komu.

M.C.: Nigdy nie chodziło mi o zemstę ani o to, żeby oni siedzieli ileś tam lat w więzieniu. Krzysia i tak nie ma. Ale żeby ktoś z nich podszedł i powiedział przynajmniej tyle: zastrzeliłem twojego brata, bo byłem do tego zmuszony.

A.G.: Albo żeby powiedzieli: zabiliśmy go dlatego, że nam przeszkadzał, bo dbał o wolność, której myśmy nie chcieli wam dać.

M.C.: Oni zdecydowali się uczestniczyć w tym strajku świadomie, chcieli tam być, nikt ich nie zmusił. Brat Wiktor mówił jeszcze do niego pod bramą: Krzysiek, chodź do domu, co będziesz tutaj marznął! A on na to: dlaczego ja mam iść do domu? Ja tu po coś jestem.

Ja zawsze proszę Krzysia o pomoc. Zawsze jak jest coś poważnego, trudnego, to mówię: Krzysiu, ty byłeś taki operatywny, spróbuj tam to załatwić.

Rozmowę z Małgorzatą Cierkos i Adamem Gizą przeprowadzono w kwietniu 2011 r. w Izbie Pamięci Kopalni „Wujek" w Katowicach. Autorzy celowo usunęli z tekstu swoje pytania, uwagi i opinie, uznając, że relacje świadków niosą wystarczającą dawkę emocji i faktów. Powyższy tekst jest fragmentem powstającej książki ks. dr. Henryka Bolczyka i Jacka Dziedziny opartej na rozmowach z rodzinami zamordowanych górników z kopalni „Wujek".